

# Zbigniew Zielonka

---

## Pomorze – mała ojczyzna Kaszubów

---

Acta Cassubiana 4, 375-384

---

2002

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

ZBIGNIEW ZIELONKA

## POMORZE MAŁA OJCZYZNA KASZUBÓW\*

Książka powstała dzięki przyjęciu przez pomysłodawców, a zwłaszcza autorów, trzech aksjomatów:

1. „Prawda nas wyzwoli”.
2. „Człowiek nie jest rośliną pastewną, której największą zaletą są rozmiary korzenia”.
3. „Nie jesteśmy panami historii, ale jednocześnie nie wolno nam być jej niewolnikami”.

Pierwsza prawda, to oczywiście Nowy Testament. Druga prawda wyszła spod pióra Denisa Rougemonta. Trzecia jest tylko pochodną tych treści, które znalazły się na ośmiuset stronach prezentowanego dzieła.

Nazwijmy je – **opus concordiae**.

Niemcy i Polacy stanęli obok siebie nie z bronią w ręku, ale z piórami, myślami, a przede wszystkim z sercami. Stanęli na tej ziemi, którą przez wieki całe wspólnie czynili sobie poddaną. Czy jednak tak, jak przewidywał to Boski plan stworzenia? W czasie spotkania z naszą wielką rodaczką z Gdańska, panią Marianną Wannow powiedziałem nie tylko od siebie, ale i od niej: „Dwa tysiące lat wspólnego chrześcijaństwa, które powinno nas tylko łączyć. Tysiąc lat polskiego chrześcijaństwa i polskiej historii, której nie byłoby bez historii, złej i dobrej Niemiec. Tysiąc lat Gdańska, wspólnoty tylu wspólnot!”

Co myśmy z tą wieloraką wspólnotą uczynili? W pewnym sensie odpowiedź zawiera to **opus**.

To opus jest także ciężkie od krwi, łez, krzywd – one bowiem w relacji autorów wypełniają liczne jego strony.

„*Naszym dzisiejszym zadaniem – powtarzam tu słowa Denisa Rougemonta – jest wytworzenie takich przeciwciał, które pozwolą rodzajowi ludzkiemu*

---

\* Tekst wystąpienia profesora Zbigniewa Zielonki na seminarium zorganizowanym przez Academia Baltica z Lubeki i m.in. Instytut Kaszubski (w Gdańsku) w Sankelmark, które odbyło się w dniach 19-21 IV 2002 r., pt. „Kaschuben und Pommern”, podczas którego nastąpiła „niemiecka” promocja omawianego dzieła. Tamże miało miejsce m.in. wystąpienie dr Jowity Kęcińskiej, jej tekst publikujemy obok pt. *Wspólny krajobraz geograficzny* – Redakcja.

*oprzeć się naszym własnym truciznom, wirusom nacjonalizmu i materializmu, który jest formą duchowego osłabienia. Oznacza to, że naszym powołaniem jest odtąd dawać światu naukę i sztukę w najgłębszym sensie ekumeniczną, wyrażającą jedność w wielości”.*

Tyle autor, który nie był ani Niemcem, ani Polakiem, ale w przeciwieństwie do nas, szczęśliwym Szwajcarem. Dlatego łatwiej mu było być – Europejczykiem. Jednakże jego testamentalny *List do Europejczyków*, a więc do każdego z nas, oparty jest na naszych, a więc i polsko-niemieckich doświadczeniach. Z nich to pragnie wyprowadzić naukę ocalającą Europę. Szczególnie naszą Europę, najbliższą nam w sensie terytorialnym. Jest to nauka, która nie zasadza się na scalaniu, ale rozdzieleniu wszystkich, nawet najmniejszych podmiotów etniczno-językowych, bez których nie ma wspólnoty europejskiej, nie ma po prostu Europy. Na tym polega prawdziwy powrót do Europy i jednocześnie Europy do siebie. Odeszli od niej wszyscy, którym śniły się straszliwe w skutkach sny o wielkości i o wyższości w stosunku do innych podmiotów tworzących Europę. Tymczasem dzieje Europy przypominają, że to nie wielkie narody, ale ludzie, jednostki budowały naszą kulturę, że powstawała ona często z dala od politycznych centrów, w jakiejś zapadłej Prowansji, Irlandii, Litwie – to oczywiście tylko przypadkowe przywołania...

Chwała więc tym, którzy w tym duchu myśleli w Gdańsku i Lubece, inicjując prezentowane dzisiaj dzieło. Chwała tym, którzy, przewyciężając to duchowe osłabienie, o jakim pisze Rougemont, przy wszystkich, także zewnętrznych trudnościach, doprowadzili je do końca. To znaczy do tych 807 stron, których waga jest tym większa, że zapisane one zostały dwoma wielkimi językami europejskimi. I byłaby ona jeszcze większa, gdyby doszedł trzeci język, kaszubski, którym co prawda nie mówi nawet pół miliona ludzi, ale przez to nie jest on w niczym gorszy i mniejszy od tych dwóch języków. Podobnie zresztą jak od wszystkich, a myślę tu nie o tych kilku oficjalnych, lecz o blisko stu językach europejskich! Człowiek, a więc jego myśl, język, ekspresja reprezentuje wartość niezależną od innych ludzi, którzy mówią tym samym językiem, od wielkości obszaru, który ludzie tego języka zamieszkują.

Książka polsko-niemiecka o ojczyźnie Kaszubów pozwala optymistycznie stwierdzić, że przemija epoka, w której liczyła się wielkość – terytorialna czy liczbowa. W dziejach kultury człowieka taką wielkość można zestawić z wielkością bicepsów.

Dlatego podzielam niepokój p. Tomasza Piechowskiego, gdy mówi o losach ustawy dotyczącej mniejszości, w tym językowej w Polsce. Tylko że nie zapominajmy, iż nie od ustaw w końcu zależy stosunek człowieka do człowieka, ludzi do ludzi. To w nas musi być duch wolności. To my musimy się uwolnić od tego osłabienia duchowego, które w nas rodzi różne reakcje. Sam się na tym złapałem, denerwując się, kiedy pytam Ślązaka, kim jest, a on mówi, że Ślązakiem, kiedy pytam Kaszuba, a on mówi, że Polakiem. Denerwuję się, bo uważam, że moi

rozmówcy przeczą faktom. A oni po prostu tak przeżywają swoją przynależność narodową. Pani Konsul Marianna Wannow swoją książką o Kaszubach, pisaną ręką, ale i sercem kobiety rozbroiła dynamit ukryty w tym problemie. Kiedy omawiałem tę książkę (*Die Kaschuben/Kaszubi*), na marginesie swych uwag wypowiedziałem opinię, że nie było Kaszubów-Żydów (o których autorka pisze).

Wczoraj Pani Konsul dała mi wzruszający dar w postaci map, jakie otrzymała od Franka Theylega ze Stanów Zjednoczonych i na kopercie napisała, że „wczesniej nazywał się Seelig, rodzina Seelig miała sklep w Głównycach i ów niemiecki Żyd mówił o sobie: Kaszuba”. I w tej aluzji objawił się cały kobiecy urok Pani Wannow! Pouczyła mnie, że świat jest bogatszy niż wszystkie teorie.

Określenie, choćby w tytule przedstawianej książki, **mała ojczyzna**, nie ma nic wspólnego z wartościowaniem czy hierarchizowaniem tej ojczyzny i tych ludzi, do których ona należy.

Natomiast dzieło to jest przede wszystkim – przypomnieniem i upomnieniem, najdoskonalszym, bo twórczym aktem skruchy, ostrzeżeniem przed powrotem do dawnej mentalności. Przypomina się tu określenie kanclerza Bismarcka, które przywołam, bo dotyczy ono przecież ludzi niemieckiego języka: „*Bawarczyk dla mnie to coś pośredniego między Austriakiem a człowiekiem*”.

Padło wśród nas pytanie, czy w Brukseli też będzie można posługiwać się językiem kaszubskim. Dlaczego nie? Jeśli Europa ma być rzeczywiście zjednoczoną Europą. Ale to nie zależy od „nich”. To nie „oni” o tym zadecydują. **Tylko Kaszubi.**

„*Nie mogę nie zwrócić się dzisiaj do potomków prastłowińskich, lechickich Pomorzan, do drogich nam wszystkim Kaszubów, którzy do dzisiaj zachowali swą etniczną tożsamość i swoją mowę o słowińskim rdzeniu*”. Te słowa papieża Jana Pawła II (przypomniane zresztą w tej książce) poza wszystkimi implikacjami historycznymi, jakie wywołały, są przede wszystkim przypomnieniem, że ta ziemia, Pomorze, to kolebka, to dom, to własność rodowa Kaszubów; nie Polaków, nie Niemców, tylko właśnie Kaszubów. Wszyscy przybywający tu z innych krajów zachowywali się jak ptaki, które po przylocie na nowe terytorium przede wszystkim starają się zepchnąć zagnieżdżone tu ptaki ku gorszym obszarom rozrodu i żerowisk. Ptaki jednak należą tylko do świata natury, my zaś także do kultury i stąd obowiązek refleksji humanistycznej. Na tę refleksję odważyliśmy się w Gdańsku i w Sankelmark, w naszej polsko-niemieckiej Europie.

Autorzy tej refleksji nie kierują się wszakże znanym nam z niedawnej przeszłości paternalizmem w stosunku do małych, a więc gorszych z natury rzeczy ludów, którym trzeba pomóc się ucywilizować. Niemieccy i polscy autorzy cytują, co to o tych Kaszubach nie powypisywano! Jedni żartowali tylko z nich, jak w literaturze dworsko-rycerskiej zachodniej Europy żartowano z chłopów, albo w polskiej literaturze wcale nie szlacheckiej, lecz plebejskiej z wójtów udających się na wojnę, czy z chłopą, co się królem obudził. Są to oczywiście żarty pokpiwające, ale

niezbyt szkodliwe. Inni pogardzali nimi. Na kartach książki przytoczono niejedyn przykład pogardy, która często wynikała z przesłanek, że losy ludzkie trzeba kształtować wbrew ludziom, ale za to w imię ich dobra zamkniętego w określonej wizji świata i wartości; albo z przekonania, że są narody bardziej predestynowane do urządzania świata i są to narody większe, liczebniejsze; a wreszcie brało się to ze zwyczajnej ignorancji ukrytej pod płaszczem buty i pewności siebie.

Dr Diethmar Albrecht i prof. J. Samp przytaczają niezależnie od siebie i nawet w różnym tłumaczeniu fragmenty z dziennika Ludwiga Rhesy, który w 1813 r. zaciągnął się pod sztandary bojowników o wolność Prus, a poniekąd całych bez mała Niemiec (bo, jak wiemy, Sasi byli po drugiej stronie), by je uwolnić spod hegemonii Napoleona. Chociaż ta walka wyzwolenicza ma w niemieckiej tradycji i historiografii tylko piękną pamięć, dr Albrecht z mądrym dystansem określił zapisy Rhesy jako „Patriotischer Uberswang der Befreiungskriege...” To właśnie Ludwig Rhesa jest tu nie tylko pogardliwym wobec Kaszubów pruskim szowinistą i protestanckim fanatykiem, ale przede wszystkim nieukiem stwierdzającym, że pięćset i więcej lat żyją Kaszubi w środku Niemiec – chociaż żyli akurat dopiero kilkadziesiąt lat – i to na rubieżach Niemiec, wśród ludności wielojęzycznej.

Po wielu latach, już w epoce wilhelmińskiej, profesor Heinrich Sohnrey przypomni pod adresem mentalnościowych potomków Rhesa, których rodziło się zresztą coraz więcej, że *„tylko głupota znosi politykę butów kirasjerskich, ale nie duch (...). Mieczem trzeba zdobyć lud, ale nigdy jego duszę”*.

Nie chcemy smutno powtarzać, że takie opinie wśród Niemców były wyjątkowe. Zawsze mądre sądy wypowiadają tylko mądre jednostki.

Są wśród przytaczanych w książce przykładów głosy solidarności z Kaszubami – ale przeważnie już umiერającymi! Ciągłe przywołujemy nazwisko Aleksandra Hilferdinga, ale nie był on jedyny, który pisał o ginącym małym ludzie słowiańskim, *„von einem ubenkannten Volk in Deutschland”*...

Ale oni żyją! Wbrew logice historii (bo historia nie ma żadnej logiki), wbrew zdrowemu rozsądkowi i najracjonalniejszym przewidywaniom, wbrew wszystkim wrogom i potencjom politycznym. Ta książka nie jest trenem żałobnej pamięci, ale świadectwem życia tak pozornie słabego i tak rzeczywiście małego ludu. Żyją! Bez zamachów terrorystycznych, jakimi walczy równie starodawny lud Basków, bez wigwamów skansenowych, w których wyizolowali się równie szlachetni Indianie, bez narzekania nawet i lamentacji. Zachowują się godnie i wspaniałomyślnie wobec Polaków i Niemców, przechodząc do porządku dziennego nad swą bolesną historią. A przecież historia musiała w nich wyzwalać, jak przypomina prof. Brunon Synak, nie tylko cechy pozytywne. Każda niewola psuje dusze, uczy dwulicowości, skrytości i oportunisty, a każda indoktrynacja służy „przewartościowaniu postaw wobec własnej tożsamości”.

Mimo tych zagrożeń ducha i wbrew wszystkim żałobnym śpiewom, jakie nad nimi wyśpiewano, nie tylko twórczo pracują, przemieniając swój najbliższy świat

w krainę pięknego żywobycia, wszak „*kształtem miłości piękno jest*”, budują się, gospodarzą na roli, wyptywają na połowy morskie, nie tylko bawią się, śpiewają, tańczą (*Cassubia non cantat* – mówiono kiedyś), grają i piją (nie tylko mleko prosto od krowy), ba! nawet w senacie Rzeczypospolitej, któremu marszałkował Kaszuba, w swoim języku zażądali prawa do wolnej uprawy tabaki; nie tylko sprawują najwyższe urzędy państwowe i samorządowe, ale – co na pewno ważniejsze – piszą nowoczesne kaszubskie wiersze i powieści, tworząc jeszcze jedno ogniwo językowe literatury europejskiej, tłumaczonej na inne europejskie języki. Wreszcie, co tu szczególnie godzi się podnieść – budują naukę europejską, w tym europejską humanistykę. Większość autorów tej książki, piszących w niej po polsku, to także Kaszubi. Nie zakonspirowani ani tym bardziej zakompleksieni. Chciałoby się tu przywołać zdania, które w swoim wysokim, urokliwym *Wprowadzeniu* przytoczył Dietmar Albrecht: „*I wstanie nieznanego światu lud, o którym dzieje dawno przestały pisać i znów pługami będzie orał ziemię i statkami będzie pływał po wodach. Wtedy przypomni sobie świat, że lud ten żył dawno w minionych czasach i dziwić się będą, że znów żyje*”.

To oczywiście wielki Aleksander Majkowski. Że właśnie do tego arcytekstu sięgnął niemiecki uczoney, zresztą niejednokrotnie, świadczy o randze pisarstwa Majkowskiego i o randze uniwersalnej, odważnej myśli Dietmara Albrechta. Za to *Wprowadzenie do opus magni* serdecznie mu dziękujemy.

Na przywołanym przykładzie wielkich dokonań w rodzinnej Europie Kaszubów sprawdzają się raz jeszcze opinie Rougemonta, że „*człowiek nie jest rośliną pastewną, o której wartości decydują rozmiary korzenia*”.

Trzeba tu powiedzieć, że nie wszyscy autorzy tej książki konsekwentnie pamiętają, iż ma to być książka o Kaszubach. Historia Pomorza Polaków i Niemców pochłania miejscami historię Pomorza jako ojczyzny Kaszubów. Czasami w ogóle Kaszubi znikają z pola widzenia, często stają się przedmiotem obu zmagających się ze sobą sił. Albo tylko zamajaczą w odległym tle. Mamy więc do czynienia ze swoistym brakiem historyzmu, w tym wypadku z brakiem spojrzenia na problem w kategoriach zmienności – pojęć, przeżyć, świadomości. Historycy (ale i socjologowie) z natury rzeczy opisują fakty zewnętrzne lub te wewnętrzne, które się jednak uzewnętrzniły w działaniu zbiorowym, jakie się temu określeniu w socjologii przypisuje, lecz w znaczeniu potocznym tego wyrażenia, oznaczającym wówczas ludzi, jednostki oderwane lub przynajmniej wybijające się w stosunku do całości. Wiemy, chociaż często nie pamiętamy, że dla nauki o społeczeństwie jako przedmiotu informowania i nauczania nie liczą się zjawiska „niesprawdzalne społecznie”, takie chociażby jak łzy, westchnienia, myśli – i nie-myśli, świadomość i nie-swiadomość poszczególnych osób, które w sumie dają społeczność.

Po raz pierwszy ten sposób spojrzenia na przedmiot, a raczej podmiot badań socjologicznych w bogatym i szczegółowym zakresie stosuje w naszym kręgu zainteresowań Cezary Obracht-Prondzyński. Już po ukazaniu się prezentowanej dziś

książki, która także powstała dzięki zabiegom dr. Prondzyńskiego, otrzymaliśmy dzieło podpisane jego nazwiskiem, nieporównywalne z wszystkim, co dotychczas w jednym tekście o Kaszubach napisano, dzieło stanowiące summę wiedzy przynajmniej o współczesnych Kaszubach; jest ono także wyrazem Wielkiego Przewrotu i największych sukcesów, jakimi się Kaszubi, a z nimi kultura europejskich nacji połączonych pochwalić może.

Pomorze – „*Ziemia wielkich zasiedleń i spotkań*” – pisał wielki Pomorzanin, Polak i Europejczyk w jednej osobie, ks. Janusz Stanisław Pasierb. „*Przez wieki żyli tu obok siebie, jak to znakomicie opisał Günter Grass, Polacy, Kaszubi, Niemcy, żeby nie liczyć innych nacji...Prawdziwa mozaika języków i narodowości*”.

Przypominając te słowa, które na Pomorzu weszły do kanonu myśli wokół budowania także przyszłości Pomorza, Józef Borzyszkowski dodaje, iż „*od naszych umysłów i rąk, już dziś podejmowanych wysiłków, wyobraźni i współdziałania w największym stopniu zależy jakość*” – ojczyzny wspólnej przeszłości, ale przecież w perspektywie także wspólnej przyszłości, jaką będzie prawdziwie zintegrowana Europa wszystkich ojczyzn i regionów. Ta książka, dla której tu się także zesłaliśmy, jest, powinna być, cegiełką nowego gmachu Europy. Oby ten materiał budulcowy był solidny i niepodrobiony.

Tysiącom lat tego zasiedlenia, zamieszkiwania i exodusów na Pomorzu przygląda się pani Ilse Gudden-Ludecke. Jej rewizje historyczne dotyczą stuleci tak odległych, że aż sprzed naszej ery. Wreszcie likwiduje śmieszny bądź co bądź spór toczony przynajmniej od Renesansu, kto tu był pierwszy i do jakiej rasy należeli Wendowie, Nordowie, różni Swewowie czy Gepidzi, gdyż od tego zależeć miało prawo do posiadania w nowożytnych i naszych już czasach tych ziem. A jednak szkoda, że z taką skrupulatnością, analizując dzieje osadnictwa na Pomorzu i wszelkie migracje przez całe tysiąclecia, niewiele zapisała, gdy chodzi o czasy nam najbliższe, które zadały nam tak głębokie rany, iż wiele trzeba uczynić, aby znaleźć na te rany lekarstwo. Bez tego bowiem nie ma mowy o pojednaniu prawdziwym i niefasadowym Polaków, Kaszubów i Niemców, a z kolei bez tego pojednania nie może dojść do dalszego procesu zjednoczenia Europy. Nie możemy w tę Europę wnieść nierozwiązany bagaż naszych problemów, bo ją rozsadzimy od wewnątrz. Uczona wie, że traktat wersalski stworzył „*problemy ludzkie niemożliwe do rozwiązania*” (s. 181). Jeśli coś jest niemożliwe, to zostaje rozwiązanie według przypowieści dotyczącej węzła gordyjskiego. Ale kto ten miecz rozcinający podniósł, z uczonej rozprawy pani Gudden-Ludecke nie dowiadujemy się. Nie dowiadujemy się też, co się działo z mieszkańcami Pomorza między rokiem 1939 a 1945. Ile tysięcy rodzin wysiedlono do niemieckiej strefy Generalnego Gubernatorstwa i kto tę operację przeprowadził, ile tysięcy po prostu zamordowano i kto to uczynił, ile powołano wbrew prawu okupacyjnemu na jatki frontowe?... A co się stało z również odwiecznymi mieszkańcami Pomorza – Żydami?

Z traktatu wersalskiego niezadowolone były obie strony. Polski autor, relacjonując głosy rozczarowania ze strony polskiej, kaszubskiej i niemieckiej, stwierdza z historycznym dystansem, „*iz rozstrzygnięcia wersalskie były optymalnym efektem dyplomatycznych prac i decyzji w ówczesnej, tak wielorako skomplikowanej rzeczywistości*” (s. 383). Jeszcze kilka lat temu też tak w Polsce nie pisano, kiedy historia była nie tylko nauką, lecz instrumentem polityki państwa.

Nie tylko pani Gudden-Ludecke tak krytycznie ocenia traktat wersalski, Komunistyczna Partia Niemiec (KPD) – wprost nazywa go „*zbójckim traktatem*”, ale szczęśliwie dla niej został on obalony przez tajny traktat Ribbentrop-Mołotow, a „*bękart tego traktatu – Polska*”, jak to określił ówczesny sojusznik Niemiec, minister spraw zagranicznych Związku Sowieckiego – został wspólnie przez sojuszników zamordowany.

Gdyby zresztą wszystkich warunków tego traktatu „*niemożliwego do rozwiązania*” przestrzegano, w tym także dotyczącego mniejszości narodowych, nie byłoby traktatu poczdamskiego.

Proszę Państwa, jeszcze raz się okazuje, jakim wrogiem prawdy są resentymenty. Polacy mieli swoje także polityczne resentymenty, choćby wobec Wilna czy Lwowa, ale potrafili przekształcić je – w sentymenty.

Książka, nad którą pochylamy się, poza drobnymi, przywoływanymi tu, fragmentami, jest również szczęśliwie wypełniona wspólnotą sentymentów.

Z nacjonalizmem jest trochę jak z katarem, który u nieuodpornionych Papuasów staje się chorobą śmiertelną – ostrzega Rougemont. I dodaje: „*Jest to namietność, która od półtora stuleci jest dla Europy zaraźliwą gorączką i groźbą katastrofy... Nacjonalizm – ta zbiorowa forma pychy, ze swej natury antychrześcijańska, został jednoznacznie potępiony przez papieża i przez głowy wszystkich kościołów; skądinąd te same warunki ekonomiczne, technika i kultura XX w. wydają na niego wyrok*”.

Wszyscy, którzy wykreowali tę książkę i wszyscy, którzy się tutaj zebrali, podzielają tę opinię. To na pewno nas łączy. Ale należy unikać zasady, że należy mówić tylko o tym, co nas łączy. To niebezpieczny slogan! Nic bardziej niebezpiecznego jak dynamit głęboko ukryty w pięknie oprawionej walizce. Takim dynamitem są w dziejach narodów prawdy skryte pod uspokajającymi banałami, zepchnięte do podświadomości zbiorowej. Tymczasem zegar tej bomby pracuje i wybuchnie ona w momencie, w którym się tego już nie obawiamy. Tylko prawda, cała prawda, nas wyzwoli – od nienawiści, od niebezpiecznych ideologów, a przede wszystkim od stereotypów. Stereotyp jest, jak wiemy, dlatego groźny, że nie podlega weryfikacji empirycznej i racjonalnej.

Dlaczego tutaj o tym mówię? Bo przecież nasza książka zrodziła się jako wyraz walki ze stereotypami. Dobrze się stało, że w procesie jej powstawania wzięli udział nie tylko ludzie szlachetnej idei, bo tych, cokolwiek byśmy powiedzieli, nigdy nie brakowało. ale że jest ona dziełem przede wszystkim historyków i socjologów.



Przecież to historycy współdziałali w budowaniu stereotypów, którymi nasiąkały społeczeństwa i narody. Zwłaszcza że to historycy zdradzili swoje powołanie, sprzeniewierzyli się prawdzie. *Ars historica!* Co się z nią stało?... Stała się sztuką prostytucji, sprzedając się ideologii nacjonalizmu, komunizmu, takiego czy innego totalitaryzmu.

Wszelkie manipulacje prawdą, wielość prawd, relatywizm ocen, przemilczenia, eufemizmy – z góry skazują przedsięwzięcia w budowaniu świata na przegrana. Świat nie jest abstrakcją i zawsze zaczyna się na najbliższym sąsiedztwie.

Mam przeświadczenie, że to *opus* jest krokiem milowym ku zwycięstwu. Nie Niemców, nie Polaków, nawet nie Kaszubów. Naszej wspólnej Europy. Stereotyp, który tkwi w myśleniu – tym bardziej w języku, uniemożliwia dotarcie do prawdy. Najbardziej ucieszyło mnie to, że złapałem się na tym, iż sprawdzam autorstwo rozprawy pt. *Badacze języka kaszubskiego*. Czy nie pomyliłem się, czytając na wstępie nazwisko Friedemanna Kluge... Przecież to ten sam język, ta sama frazeologia, te same zdania oceniające, które znam z tekstów polskich. Tym językiem buduje niemiecki autor piękny pomnik, zespół pomników badaczom języka kaszubskiego, od Mrongowiusza i Ceynowy począwszy, a skończywszy na żyjących dzisiaj. To przekroczenie barier nawet w języku jest jednocześnie przekroczeniem ostatniej granicy, która dzieli piszących o tych sprawach Polaków i Niemców. W języku bowiem zamyka się filozofia człowieka i narodu.

Mam jednak coś na kształt żalu do Profesora. W swoim tekście przywołuje tylko bliskie naszemu wspólnemu myśleniu nazwiska Reinholda Olescha i Friedhelma Hintze. Tym badaczom należą się nie mniej godne pomniki od tych, które stawia ich rodak Polakom i Kaszubom. (Sądzę, że jest to już sytuacja surrealistyczna – mówię o tym w konwencji radosnego żartu – kiedy prosi się niemieckiego autora, aby niemieckich uczonych nie traktował gorzej od polskich.).

Autorzy zaprezentowanego dzieła nie zajmują stanowiska „postkolonialnego”. Dają świadectwo, że to sami Kaszubi wybili się na suwerenność kulturalną, językową, polityczną, choćby ona nie oznaczała jeszcze własnego państwa. W przeszłości nikt ich nie hołubił, nikt ich nie wspomagał czynnie. Co najwyżej kilku uczonych czy filantropów polskich, niemieckich, łużyckich, rosyjskich, jednak kierowali się oni raczej pasją poznawania i odkrywania, naukowym zdziwieniem, modnymi trendami w nauce i kulturze, a ich wpływ i na władze, i na społeczeństwo tradycyjnie był żaden.

Jeśli do XIX wieku, zgodnie z feudalną strukturą społeczną, ale i strukturą myślenia, pozwolono Kaszubom żyć, mówić, myśleć, jak im się podoba w polskiej czy niemieckiej państwowości (no, jeśli chodzi o Niemców, jednak spotykamy się z agresywną pogardą w stosunku do Wenedów, co było zupełnie nietypowe dla tamtej epoki), to w XIX stuleciu zaczęła się walka o ich dusze. Proces unarodowienia się ludów na Pomorzu, jak to określa i przedstawia w bogatym fresku Józef Borzyszkowski – problem tożsamości kaszubskiej stanął na porządku dziennym.

Do jakiego nowożytnego narodu miał należeć teraz lud kaszubski? Procesy historyczne zostały przedstawione na kartach naszej książki miejscami wprost koronkowymi wywodami. Mimo że autorzy polscy zmuszeni byli uciekać się do syntez. Trzeba przyznać, że polscy autorzy nie cofają się przed oskarżeniami Polaków, a zwłaszcza są wobec nich surowi, gdy ci już osiągnęli swą państwowość. Wówczas społeczeństwo polskie, tym bardziej władze II Rzeczypospolitej, cóż dopiero mówić o tzw. Polsce Ludowej, zachowały się małostkowo, tchórzliwie, a nawet szowinistycznie. Próbowaly kierować procesami dziejowymi, w jakimś stopniu kontynuując filozofię historii zapoczątkowaną przez Prusy. Była to filozofia konieczności dziejowych, naturalnej hegemonii większych nad mniejszymi, asymilacji w imię dobra tych słabszych. Mieściło się to wszystko w idei Państw-Narodów, a potem bolszewickiej urawniłowki kulturowej, aż do stadnego myślenia włącznie. Wszelka inność była podejrzana, każda wielość reglamentowana, koncesjonowana i kontrolowana. Tak to walec Historii przejeżdżał wszcz i wzdłuż Pomorze, ojczyznę Kaszubów od czasów Fryderyka II Hohenzollerna po komunistycznych uszczęśliwaczy tej ziemi. Tak różni od siebie, jakże byli sobie bliscy! Dr Dietmar Albrecht cytuje list tegoż Fryderyka – Wielkiego bandziora środkowej Europy: „Przekazano mi kawałek anarchii, której przemianą jestem zajęty”. Z anarchią walczyli – tak twierdzą i deklarują jeszcze dzisiaj ci, którzy strzelali do gdańszczan w 1970 i 1982 r.

Dla oświeconego absolutnego monarchy porządek natury był anarchią. Nad naturą miał zapanować porządek najwyższy – państwa. Czy anarchię zniwelowal? Pokazują ten proces dzieje Pomorza zamknięte w tym tomie. Czy *Ordnung* pruski, o którym nieraz tu wspominają z uznaniem polscy autorzy, był błogosławieństwem dla tej ziemi? Czy historia nowożytna Europy pokazuje tylko taką drogę cywilizacyjnego postępu (bo duchowy postęp w ogóle nie wchodzi w rachubę, zresztą to odrębny problem)? „Przekazano mi kawałek anarchii”... według opinii dr. Albrechta myśli tu Fryderyk II o Kaszubach. Ale wkrótce miało się okazać, że tę anarchię zmanifestowali także gdańszczanie, niekoniecznie Kaszubi, ale raczej ludzie niemieckiego języka. To oni wystąpili przeciw królowi pruskiemu. Gdy ten na podstawie traktatu grodzieńskiego zawartego między targowickim rządem Rzeczypospolitej a rządem pruskim miał wziąć w posiadanie Gdańsk. Prof. Zygmunt Szultka przypomniał, że Toruń zamknął bramy przed Prusakami, ale Gdańsk nie poprzestał na tym, lecz wystawił przeciw wkraczającym wojskom pruskim armaty. Jedyne miasto w Rzeczypospolitej, które zbrojnie przeciwstawiło się zaborcy! Poza kozaczyznę z żadnym ośrodkiem nie miała Rzeczypospolita tyle kłopotów, co z miastem Gdańskiem, ale żadne miasto nie było jednocześnie tam *semper fidelis*, zawsze wierne Rzeczypospolitej jak Gdańsk. Tylko że ta wierność była wiernością ceniącego ponad wszystko swoją samorządność podmiotu. Setki gdańszczan zginęło w obronie wolności w „rzeziach gdańskich” – z 1308, 1793 i 1970 r. ...

Szkoda, że o tym znamionym epizodzie zapomnieli szybko Polacy i ddańszczanie. Gdańszczanie. którzy stawili wówczas opór pruskiemu zaborcy, to byli

etnicznie i językowo przede wszystkim Niemcy! Należałoby im także postawić pomnik w Gdańsku! Gdyby o tym pamiętali ich potomkowie w 1920, w 1933 i w 1939 r. – nie byłoby dla nich strasznego roku 1945.

Mówię tu o Gdańsku na spotkaniu poświęconym Kaszubom, gdyż Kaszubi traktowali Gdańsk także jako swoje miasto, a przede wszystkim nigdy nie żyli w izolacji. Wbrew tu i ówdzie powtarzanym stereotypom, Kaszubi nie są odludkami, nie stanowią samotnej wyspy, przetrwali tysiąc lat we wspólnocie z tyłoma ludami i narodami.

Opór gdańszczan w 1793 r. był sprzeciwem wobec nowożytnej (a jak to się mówiło przez tyle lat – oświeconej i postępowej) polityce państw-narodów, które zastąpić miały podmioty regionalne, etniczne, samorządne, autonomiczne. Prusy nie miały monopolu na nową glajchszaltującą wszystko wizję świata. Wszak najsilniejszy impuls wyszedł z rewolucyjnej Francji, która w imię Wolności, Równości i Braterstwa krwawo unicestwiała te podmioty, jakie żyły swoim życiem w jednej monarchii francuskiej.

Te rozważania nie mają być oderwane od tematu naszego spotkania. Wszak powracać chcemy do starej prawdziwej Europy. Nie arkadii żadnej, ale zawsze wyróżniającej się wielością kultur i podmiotów, ta zaś wielość stanowi o jedności. Nie ma innej drogi do naszej rodzinnej Europy! Zresztą procesy zaobserwowane u Kaszubów nie stanowią już dzisiaj wyjątku, stają się niemal regułą. Fenomen kaszubski polega tylko na tym, że w przeciwieństwie do wielu innych odrodzonych podmiotów etnicznych nie miał on nigdy swojego państwa i nie odgrywał roli w procesach dziejotwórczych, znanych historykom, a kiedy się o istnieniu tego ludu dowiedziano, to leżał już na łożu śmierci. A dzisiaj?... Możemy sobie pomarzyć, a marzenia te nie są snami, że upodmiotowienie Kaszubów wpłynie na inne ludy i kultury regionów europejskich i wzbogacą one nową-starą Europę wielobarwami, a przede wszystkim tlenem wolności. Kto wie, wszak możemy sobie pomarzyć, że tak jak z Gdańska wyszło światło Solidarności i obaliło mur nie tylko berliński, ale i polsko-niemiecki i jałtański, tak z gdańskich Kaszub pójdzie w świat wielki przykład upodmiotowienia i równouprawnienia najmniejszych nawet języków i etnosów. Taką nadzieję dają nam także karty tego dzieła, zwłaszcza że stworzyli je odważni ludzie mówiący językami służącymi dotychczas destrukcyjnemu sporowi, a nawet nienawiści. Tutaj zaś przemówili językami wolności.